

Małżeństwo
dla
zaawansowanych

Judith Viorst

Małżeństwo
dla
zaawansowanych

czyli wszystko
co chcielibyśmy i powinniśmy wiedzieć,
aby cieszyć się udanym związkiem

przekład
Marta Komorowska

Książkę dedykuję

Mirandzie Rachel Viorst,
Brandeisowi Lowellowi Viorstowi,
Olivii Rigel Viorst,
Nathanielowi Reddingowi Gwadzowi Viorstowi

*... powiadam wam,
w każdym małżeńskim domu
przydałby się tłumacz.*

STANLEY KUNITZ, *ROUTE SIX*

WSTĘP

Małżeństwo jest dla dorosłych, ale bardzo niewielu z nas wstępuje w związek małżeński jako ludzie dojrzały. Dojrzewanie wymaga czasu i jest trudne, a dla niektórych – nieosiągalne. Jednak małżeństwo, choć bywa najbardziej irytującą z relacji międzyludzkich, może również stanowić motor naszego rozwoju. Godząc się w taki czy inny sposób z rozczarowaniami, wymogami i zadziwiającymi zawilosciami codziennego życia małżeńskiego, możemy stworzyć – i wcale nie ma tu wewnętrznej sprzeczności – małżeństwo dojrzałe.

W małżeństwie dojrzałym zdajemy sobie sprawę, że nie jesteśmy, i nie powinniśmy być, nauczycielem, rodzicem, redaktorem, nadzorcą ani architektem współmałżonka.

Małżeństwo dojrzałe pozwala znaleźć równowagę pomiędzy niezależnością a więzią.

W małżeństwie dojrzałym stopniowo nabieramy niechętniej tolerancji dla ograniczeń i niedoskonałości drugiej osoby.

W małżeństwie dojrzałym nie gramy na punkty – a przynajmniej nie liczymy ich na głos.

W małżeństwie dojrzałym mamy świadomość, że nie zawsze musimy być w sobie zakochani. Co więcej, doskonale zdajemy sobie sprawę, że nie zawsze możemy być w sobie zakochani. Jednak małżeństwo dojrzałe pozwala nam, kiedy się odkochamy, wytrzymać przy swoim boku do chwili ponownego zakochania.

W małżeństwie dojrzałym umiemy przeprosić, kiedy się mylimy, i darować sobie triumfowanie, kiedy mamy rację. Potrafimy także przyjmować przeprosiny, które nie wiążą się z całkowitym poniżeniem (pod warunkiem, że niewiele im do tego brakuje).

W małżeństwie dojrzałym jest więcej śmiechu niż żalu.

W małżeństwie dojrzałym nauczyliśmy się wybaczać i zapominać. No, może zapominać niekoniecznie.

W małżeństwie dojrzałym potrafimy się ze sobą komunikować i wiemy, kiedy najlepiej będzie trzymać język za zębami.

W małżeństwie dojrzałym jesteśmy świadomi, że małżeństwo nie nada nam tożsamości, nie pozwoli uniknąć smutków i bólu, a nawet nie uchroni nas na zawsze przed samotnością.

Moja książka opisuje możliwości i trudności, jakie niesie ze sobą dobre, zaangażowane, trwałe małżeństwo, określane przez moją zamężną przyjaciółkę jako „cudowne, poplątane, ciężkie, skomplikowane połączenie dwóch żyć”. Opisuje triumf – a udane małżeństwo naprawdę stanowi powód do triumfu – tworzenia i podtrzymywania tego połączenia żyć: małżeństwo dojrzałe.

Napisałam ją dla małżonków, którzy – choć czasem, a może nawet często, wzajemnie się ranią, rozjuszają i rozczarowują – chcą pozostać mężem i żoną. Jest przeznaczona zarówno dla nowożeńców, jak i dla weteranów takich jak ja. Opisuję heteroseksualne pary z klasy średniej i do nich się zwracam, bo takie małżeństwa znam najlepiej. Kieruję swoje słowa do par, które mają już, lub przynajmniej powinny mieć, świadomość, że małżeństwa nie zawsze są darem niebios i niekiedy mogą wiązać się z sezonem w piekle – jednak jeśli mąż i żona w końcu wszystko sobie poukładają, to warto przez to piekło przejść.

Podczas pracy nad książką przyglądałam się zderzeniu oczekiwań z rzeczywistością i problemom, z którymi zmagamy się od chwili, kiedy powiemy „tak” aż po „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Niekiedy uznaję małżeństwo za śmieszne, bo wspólne życie bywa chwilami bardziej absurdalne niż wzniosłe. A jednak, choć żyjemy w epoce rozwodów, uważam, że wciąż istnieje dla małżeństw nadzieja.

W książce czerpałam z własnego, ponad czterdziestoletniego doświadczenia małżeńskiego, z rozmów z kobietami i mężczyznami

na najróżniejszych etapach małżeństwa*, z historii pacjentów opowiedzianych mi przez kilkoro terapeutów małżeńskich oraz z mądrości, jaką znalazłam w dziełach** psychologów, pisarzy, eselistów i poetów, w teatrze i w filmach. Oto sedno tego, o czym rozmyślam i piszę od dnia swojego ślubu. Oto, co wiemy, czego żałujemy, że nie wiedzieliśmy, i czego jeszcze powinniśmy się dowiedzieć o tym, jak dorastać w małżeństwie dojrzałym.

JUDITH VIORST
Waszyngton

* Dane umożliwiające ich identyfikację zostały zmienione.

** Informacje o wszystkich materiałach źródłowych znajdują się w przypisach i bibliografii na końcu książki.

ROZDZIAŁ 1

Dlaczego małżeństwo

*Lęk przed samotnością jest większy niż obawa przed zniewoleniem
– dlatego bierzemy ślub.*

Cyril Connolly, *The Unquiet Grave*¹

Większość kobiet z mojego pokolenia zapewne wyszła za mąż zbyt młodo, by zdążyć zaznać lęku przed samotnością. Większości z nas wpojono jednak, jeszcze w wieku nastoletnim, lęk przed staropanieństwem. Jednej z moich ciotek udało się obronić doktorat z fizyki w czasach, kiedy większość jej rówieśników kończyła edukację na liceum. Moi rodzice i inni krewni uważali jednak, że poniosła tragiczną życiową porażkę, ponieważ nie udało jej się mieć męża i dzieci. Za nieco mniej tragiczną uznawano porażkę innej ciotki, która, owszem, wzięła ślub, ale potem rozwiodła się i musiała sama zarabiać na życie, zamiast być na utrzymaniu męża. Kobiety aspirowały wówczas do możliwości niewykonywania pracy zarobkowej, a w porządnym małżeństwie z klasy średniej żona, dzięki Bogu, nie była zmuszona szukać posady.

Wychodziłyśmy zatem za mąż, bo dla kobiety było to największe życiowe osiągnięcie. Brałyśmy ślub, aby zapewnić sobie zabezpieczenie finansowe oraz bezpieczny seks, czyli taki – jak przyznałybyśmy naciskane – po którym ciąża nie oznacza okropnej

katastrofy. Większość z nas wstępowała także w związek małżeński, aby zająć w ciążę i założyć rodzinę. Rzecz jasna, twierdziłyśmy jednak, że wychodzimy za mąż z miłości.

A czemu mężczyźni żenili się z nami? Czemu pod koniec lat 50. XX wieku panom w wieku średnio dwudziestu trzech lat tak się spieszyło, aby utrzymać rodzinę? Myślę, że wynikało to częściowo z faktu, że dorastali w kulturze, w której stawanie się mężczyzną było równoznaczne z ustatkowaniem się. Być może nikt nie szeptał im do ucha słów takich jak „żywiciel rodziny” czy „odpowiedzialność”, ale większość wiedziała, co ma robić. Jak pisze Philip Roth w powieści *Mój wiek męski*: „W moim pokoleniu, młody wykształcony mężczyzna z klasy mieszczańskiej, który kpił z pomysłu ożenku... narażał się na zarzut «niedojrzałości». Albo był po prostu «samolubny». Albo też «bał się odpowiedzialności». Albo nie potrafił «zaangażować się» ... w «stały związek»”².

Młodzi mężczyźni angażowali się zatem, otrzymując w zamian aprobatę społeczeństwa oraz – co bardzo ważne – okazję do regularnego uprawiania seksu. Rzecz jasna, twierdzili jednak, że żenią się z miłości.

Wszyscy – cóż, większość z nas – mówiliśmy szczerze, kiedy twierdziliśmy, że bierzemy ślub z miłości, i wiedzieliśmy, o jaką miłość nam chodzi. Romantyczną. Lubieżną. Czulą. Trzpiotową. Nie pokonasz miłości, nie zwyciężysz jej w sobie. Jak z miłosnych ballad. Jak z filmów. Na długo i szczęśliwie. Bo nic, naprawdę nic nie pomoże, jeśli ty nie pomożesz dziś miłości, więc kochaj mnie nieprzytomnie, jak zapalniczka płomień, jak sucha studnia wodę. Wyśnioną, namiętą, wieczną.

Wszyscy – cóż, większość z nas – pobraliśmy się dla miłości, dla jakiejś wersji miłości z ballad Sinatry i z *Casablanki*, dla miłości, która rozświetliłaby nasze życie i wypędziła z niego strach, dla miłości jak ta Romea i Julii (choć za szczęśliwszym zakończeniem), dla miłości, która, jak napisał poeta John Donne, „Ogromne Wszędzie czyni z izby małej” [tłum. S. Barańczak]. A choć nasze uczucia

niewątpliwie były nieco naiwne i niedojrzałe, nie zamierzam ich dyskredytować, nie ma bowiem chyba nic bardziej uroczonego niż mężczyzna i kobieta zawierający małżeństwo z miłości.

Większość z nas tak właśnie postąpiła. Ale trzeba szczerze przyznać, że większość nas – świadomie lub nie – brała ślub również dla seksu, dzieci, bezpieczeństwa, aprobaty naszej społeczności i innych praktycznych korzyści wypływających z małżeństwa. Za moich czasów istniało wiele powodów, aby się pobrać. Ale to było wtedy. Dlaczego brać ślub teraz?

Stan wolny nie wydaje się już taką katastrofą jak kiedyś. Kobiety, wychowane w duchu niezależności finansowej, z własnej woli podejmują pracę. Seks i wspólne mieszkanie bez ślubu są powszechnie tolerowane i nawet rodzicielstwo bez ślubu przestało szokować. Dwoje kochających się ludzi może w sposób swobodny, i zdaniem niektórych – pełny, wyrażać swoją miłość bez dramatycznych kroków takich jak zawarcie małżeństwa.

Czemu nie mieszkać po prostu razem tak długo, jak będzie trwać miłość, unikając wielkich słów takich jak „nigdy” i „zawsze”? Po co akceptować ograniczenia, obowiązki, małżeńską rutynę?

Zwłaszcza że tak wiele małżeństw się nie udaje.

Owszem, w czasach, kiedy 45 procent pierwszych małżeństw kończy się rozwodem, ślub wydaje się ryzykownym posunięciem – zwłaszcza dla osób, które mają już za sobą jeden rozwód i których rodzice również się rozwiedli. Według ekspertów rozwody w drugich małżeństwach występują jeszcze częściej niż w pierwszych – aktualne dane mówią o 60 procentach przypadków – co źle świadczy o naszej zdolności do wyciągania wniosków z wcześniejszych doświadczeń³. Jeszcze bardziej przygnębiające są statystyki dotyczące dzieci rozwodników: w porównaniu z dziećmi nierozwiedzionych rodziców są one dwa do trzech razy bardziej narażone na rozpad małżeństwa⁴.

Trudno się dziwić, że część takich dzieci z dystansem odnosi się do instytucji małżeństwa.

„Chcę mieć pewność, że nie zawalimy sprawy tak, jak wy z mamą”, nietaktownie odpowiada Don, kiedy ojciec pyta, czemu nie ożenił się z kobietą, z którą mieszka od pięciu lat. Don twierdzi, że jego partnerka jest wspaniała i stanowi spełnienie wszystkich jego pragnień – ale skąd może wiedzieć, czy już zawsze będzie pragnął tego samego? W tej chwili wspólne mieszkanie do momentu, kiedy będzie pewien na 110 procent wydaje mu się rozsądniejszym wyjściem niż ślub.

Nawet osoby, na których życiowej historii nie zaważył rozwód, podchodzą do małżeństwa znacznie ostrożniej niż moje pokolenie („New York Times” pisze o ślubie pary, która postanowiła wykreślić z przysięgi słowa „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Jak wyjaśniła panna młoda, „nie chcieliśmy składać obietnic, których nie będziemy w stanie dotrzymać”⁵). Taka ostrożność może częściowo tłumaczyć, dlaczego mediana wieku zawarcia małżeństwa jest obecnie najwyższa w amerykańskiej historii: wynosi dwadzieścia siedem lat dla mężczyzn, dwadzieścia pięć dla kobiet⁶. Być może młodzi czekają, aż całkowicie pozbędą się wątpliwości i zdobędą 110 procent pewności.

Pewności, że za dziesięć lat będą pragnąć tego samego, co teraz. Że różnice między nimi są do pogodzenia. Że któreś z nich nie skrywa głęboko żadnych mrocznych sekretów. Że nie utkną – jak wcześniej ich rodzice – w biernym, bezbarwnym małżeństwie. Że decydując się na coś dobrego, nie przegapią czegoś jeszcze lepszego.

Christy, która niedługo skończy trzydzieści pięć lat, opowiedziała mi o Benjaminie, który, sądząc z jej słów, jest bliski ideału – ciepły, bystry, zabawny, odpowiedzialny, szaleje za nią i, podobnie jak ona, pragnie wkrótce założyć rodzinę. Jak wyjaśniła Christy, problem w tym, że choć bardzo lubi Bena, nie może powiedzieć, że jest w nim zakochana na zabój, a z kolei mężczyźni, w których kochała się wcześniej na zabój, nie byli zainteresowani ślubem i byliby fatalnymi mężami i ojcami. Jest pewna, że Ben

byłby świetnym mężem i ojcem. Jej zegar biologiczny tyka. Być może nadszedł czas, aby uznać, że lepiej nie będzie? Przestać odwlekać i wziąć ślub?

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, chociaż kusilo mnie, żeby rzucić „wyjdź za niego czym prędzej i załóż rodzinę”. Nie wiedziałam, czy sformułowanie „nie jestem w nim zakochana na zabój” ma oznaczać „nie jest mi z nim dobrze w łóżku”. Nie wiedziałam, czy porzucając Bena, pozbawiłaby się szansy na macierzyństwo i żałowała tego przez resztę życia, czy też, biorąc z nim ślub, pozbawiłaby się szansy na miłość na zabój – i żałowała tego jeszcze bardziej.

Znałam kiedyś kobietę, która postanowiła wyjść za mężczyznę, z którym było jej świetnie wszędzie poza łóżkiem. Uznała, że w końcu uda im się rozwiązać ten problem. Skończyło się jednak rozwodem, ponieważ rozwiązaniem, jakie znalazła, była zdrada. Kiedy mąż to odkrył i kazał jej wybierać pomiędzy sobą a kochankiem, wybrała kochanka. Wyszła za niego i żyli długo i bardzo nieszczęśliwie, bo okazał się fatalnym mężem i ojcem.

Być może po prostu musimy poczekać na Tego Jedynego lub Tę Jedyną jak w filmie Neila Simona *The Heartbreak Kid*?

Jego bohater, Lenny, żeni się z Lilą i spędza z nią miesiąc miodowy w Miami Beach, gdzie zakochuje się bez pamięci – podczas podróży poślubnej! – w dziewczynie swoich marzeń, złotowłosej bogini imieniem Kelly. Mówi jej: „Przez całe życie czekałem na kobietę taką jak ty. Po prostu nie trafiłem w dobry moment”. Nie pozwala jednak, by go to powstrzymało. Jeszcze podczas miesiąca miodowego oświadcza Lili, że nie pasują do siebie i powinni się rozwieść, a następnie uderza w konkury do uroczej Kelly i udaje mu się zdobyć jej rękę. Pod koniec filmu widzimy Lenny’ego w dniu ślubu. Wydaje się skrępowany i bynajmniej nie wygląda, jakby miał 110 procent pewności. Czy ostatecznie wybrał właściwą kobietę? Skąd ludzie wiedzą, że podjęli właściwą decyzję?

Być może, skoro tak trudno nam rozstrzygnąć, czy postępujemy słusznie, lepiej byłoby się zdecydować na opcję mniej wiążącą niż małżeństwo, na rozwiązanie prawne zapewniające nam i partnerowi pewne prawa bez nakładania zobowiązań „dopóki śmierć nas nie rozdzieli”. Na przykład we Francji można zawrzeć związek partnerski – *Pacte civil de solidarité*⁷. Rozwiązanie to zostało stworzone z myślą o parach jednopłciowych, ale zdobyło wielką popularność wśród par heteroseksualnych mających opory przed ślubem. PACS, jak nazywa się w skrócie, przyznaje obojgu partnerom prawa i nakłada na nich obowiązki podobne jak w małżeństwie.

Znacznie łatwiej jest rozwiązać PACS niż się rozwieść, zatem taka opcja przemawia do osób, które chcą sformalizować swój związek, unikając przy tym przerażającego podejmowania decyzji na całe życie. Jest zdecydowanie bardziej wiążąca niż relacja o niewielkim stopniu zaangażowania „bez zobowiązań i bez obrączek”⁸, wspólne mieszkanie bez poczucia obowiązku czy wspólne mieszkanie z poczuciem obowiązku, ale bez składania jakichkolwiek obietnic na piśmie. Jest też jednak zdecydowanie *mniej* wiążąca niż małżeństwo.

Jak określić sytuację, w której mężczyzna i kobieta decydują się związać prawnie bez ślubu? Jak nazwać takie poniekąd niepełne małżeństwo? Niektórzy mówią o zostawianiu sobie furtki lub o lęku przed zaangażowaniem. Dla innych to rozwiązanie połowiczne, na pół gwizdka, pół-małżeństwo. Niemcy stworzyli bardzo długą nazwę dla takich osób: *Lebensabschnittgefährte*, czyli tymczasowy partner lub towarzysz na pewnym etapie życia⁹.

Kobiety z mojego pokolenia szukały towarzysza na całe życie, nie na pewien jego etap. Chciałyśmy relacji z zobowiązaniami i obrączkami. Chciałyśmy wiedzieć na pewno, z kim będziemy spędzać noc sylwestrową przez kolejnych pięćdziesiąt lat. Chciałyśmy pełnego, a nie połowicznego małżeństwa.

Podaję nawet, że gdybyśmy miały wówczas taką możliwość, ja i moje przyjaciółki chętnie zdecydowałybyśmy się na „przymierze małżeńskie” (*covenant marriage*)¹⁰, w którym obowiązkowe są przygotowanie przedmałżeńskie oraz terapia małżeńska przed ewentualnym rozwodem, a także – w Luizjanie, jednym z trzech stanów, które wprowadziły to rozwiązanie – dwuletnia separacja przed rozwiązaniem małżeństwa. W takim wariantcie znacznie trudniej jest uzyskać rozwód, co ma zwiększyć zaangażowanie męża i żony i dać im sposobność do wybrania „małżeństwa w wersji ciężkiej” zamiast „małżeństwa w wersji lekkiej”. Opiera się on na założeniu „zamknąć na zawsze i wyrzucić klucz”.

Rzecz jasna, wyszłam za mąż z przekonaniem, że wybieram małżeństwo w wersji ciężkiej, że zamykam się w nim na zawsze i wyrzucam klucz. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mogłabym się rozwieść.

Pod koniec lat 50., kiedy wciąż byłam jeszcze przed trzydziestką, moje krótkie pierwsze małżeństwo dobiegło końca i pierwszy raz w życiu zostałam sama. Mieszkając w pojedynkę w Greenwich Village, zaczęłam doświadczać lęku przed samotnością. Moja matka, kiedy wpadała z wizytą z New Jersey, często zapewniała, układając mi włosy i doradzając ciemniejszą szminkę: „Ładna z ciebie dziewczyna. Znajdziesz sobie męża”. Wiedziałam jednak, że martwi się o moją małżeńską przyszłość. Podzielałam jej obawy.

Czy kiedyś wezmę ślub?
Czy w końcu doczekam się?
Lampy wreszcie zapalić chcę,
Chcę zapalić je razem.

Czy kiedyś wezmę ślub?
Zdradzić serca sekrety chcę
Temu, co szukam go, a on mnie,
Byśmy szukali razem.